

**NAGRODA  
NOBLA**

# **knut hamsun**

**błogosławieństwo  
ziemi**



Knut Hamsun

# BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-98-5

Tłumaczenie: Czesław Kędzierski

Powieść ta została nagrodzona w 1920 roku literacką Nagrodą Nobla

## CZEŚĆ PIERWSZA

### I

Przez trzęsawisko wiedzie do boru ścieżka długa, niezmierna. Kto ją wydeptał? – Człowiek, pierwszy, który się tu pojawił. Przed jego przybyciem nie było jej jeszcze. Później wątlm jego śladem podążyło poprzez bagna i trzęsawice zwierzę jedno i drugie, a jeszcze później ścieżynkę zwęszył i używał jej stale ten i ów Lapończyk goniący w górach za swoimi reniferami. Tak powstała droga nie należąca do nikogo, wiodąca przez rozległą ziemię bezpańską.

Drogą tą kroczy w kierunku północnym człowiek. Dźwiga worek, a w nim zapasy żywności i trochę narzędzi rzemieślniczych. Chłop to rosty i silnie zbudowany, z rudym zarostem, na twarzy i rękach ma liczne drobne blizny zdobyte może w pracy, a może i w walce. Śpieszy może wprost z więzienia i pragnie się ukryć, a może jest filozofem i szuka spokoju. Dosyć, że tu wśród tej przeogromnej samotni znalazł się człowiek. Idzie naprzód i idzie, a dokoła cisza, ani ptak się nie odezwie, ani innego zwierza nie słyszeć. Idzie i idzie, niekiedy rozmawia z sobą, a wtedy mówi: – Hej, mocny Boże! – Gdy podczas wędrówki natrafi na mokradła i większe płaszczyny lub polany leśne, zdejmuje worek, obchodzi dookoła i bada ziemię. Po chwili wraca, zarzuca worek na plecy i idzie dalej. Tak robi przez dzień cały bez przerwy. Według słońca poznaje porę dnia, a gdy noc zapadnie, kładzie się we wrzosowisku i zasypia z głową na ramieniu.

Po kilku godzinach idzie dalej. – Hej, mocny Boże! – Idzie wciąż prosto na północ, według słońca, poznaje porę dnia, urządza postój obiadowy, spożywa kawał wyschłego razowca z kozim serem, popija wodę z pobliskiego strumyka i idzie dalej.

I tego dnia wędruje bez przerwy, ponieważ pragnie zbadać bardzo wiele polan leśnych. Pragnie je zbadać pod względem położenia czy też pod względem właściwości ziemi? A może jest on wychodzącą ze wsi, gdyż rozgląda się wszędzie uważnie, czasami zaś wchodzi na który z pagórków i wodzi dokoła wzrokiem badawczym.

Słońce znowu zachodzi. Znajduje się właśnie na zachodniej stronie rozciągającej się w dal doliny z lasem mieszanym; jest tu i las czarny, są i pastwiska duże, ciągnie się to godzinami całymi. Zmierzcha już, ale człowiek słyszy nagle poszum rzeki; poszum ten jest czymś żywym, więc podnieca go. Wdarł się na wzgórze, widzi przed sobą w półmroku tonącą dolinę, a daleko na południe niebo. Teraz kładzie się na spoczynek.

Rano oczom jego przedstawia się krajobraz barwny, lasy i pastwiska, rozłożony u stóp wzgórza. Schodzi na dół: tam widnieje zielona polana, w oddali połyskuje rzeczka, którą „bierze” właśnie w zuchowatym skoku zając, śmiałek nie lada. Człowiek skinął głową jakby na znak zadowolenia, że rzeczka nie szersza nad skok zająca. Spod stóp jego zerwała się pardwa, sycząc złowrogo, spłoszona widocznie z swego gniazda. I człowiek po raz wtóry skinął głową, jest zwierzyzna i ptactwo – dobrze się składa, bardzo dobrze!

Stopy jego brnęły przez gęste krzaczki jagód czarnych i borówek, przez kępki paproci i gwiazdnicy. Zatrzymując się tu i ówdzie i grzebiąc żelazem w ziemi znajduje tu borowisko, tam znów ziemię borowinową, liśćmi i zgniłymi gałęziami od lat tysięcy użyźnianą. Człowiek skinął głową, tu chce się osiedlić, tak, tu osiedli się.

Następne dwa dni wałęsa się jeszcze po okolicy, co wieczór jednak wraca do swej hali. Nocą sypia na posłaniu z jedlinek, czuje się tu zupełnie jak u siebie, wszakże pod ścianą skalną ma już swoje legowisko.

Rzeczą najważniejszą było wynaleźć miejsce nie należące do nikogo, miejsce, które by mogło stać się jego własnością; obecnie nadszedł czas pracy. Przystąpił natychmiast do odzierania kory z brzoź rosnących w nieco oddalonych lasach. Następnie korę prostował, układał równo jedną na drugą, obciążał kamieniami i czekał, aż wyschnie. Zebrawszy w ten sposób większy ładunek zasuszonej kory, znosił ją na dół do odległej o kilka mil wioski i sprzedawał jako materiał budowlany. Po czym do swej hali, hen wysoko, wnosił coraz to nowe wory żywności i narzędzi: mąkę, słoninę, garnek żelazny, szpadel; wędrował ścieżką wytrwale tam i z powrotem i zamęczał się dźwiganiem. Urodzony tragarz, prom kursujący w lasach, o, zdawało się, jakoby ukochał był to swoje powołanie: ustawiczną wędrowkę i dźwiganie wielkich ciężarów, jakoby w tym właśnie widział źródło i dowód swego bytowania, a upatrywał śmierć w braku ciężaru na swych barkach.

Pewnego dnia przyszedł obarczony jak zwykle ciężkim ładunkiem, prowadząc nadto na powrózku dwie kozy i koźlę. Kozami swymi czuł się tak uszczęśliwiony, jakby to co najmniej były krowy, i bardzo był dla nich dobry. Pojawił się pierwszy obcy człowiek, wędrowny Lapończyk, ten odgadł od razu, że natrafił na takiego, który się tam osiedlił, i rzekł:

- Chcesz tu zamieszkać na stałe?
- Tak – brzmiała odpowiedź.
- Jak się nazywasz?
- Izak. Nie masz jakiej dziewczki dla mnie?
- Nie, ale popytam tam, dokąd idę.
- Dobrze! Powiedz, że mam bydelko, a nie mam nikogo do oprzętu.

Izak zatem i tego pragnął dopiąć. Człowiek z hali więc nie był zbiegiem – wyjawiał swoje imię. On zbiegiem? Ależ w takim razie wytropiono by go. Był to tylko niestrudzony pracownik: gromadził paszę zimową dla swych kóz, karczował ziemię, uprawiał pole, usuwał kamienie, wznosił mur kamienny. Na jesieni miał już gotowe mieszkanie, chałupę, czyli „gammę” solidną i ciepłą. Gdy zechciał, mógł był wejść do swego przybytku, zamknąć drzwi za sobą i pozostać wewnątrz, gdy zaś pojawił się jakiś przechodzień, mógł był stanąć w drzwiach i przedstawić się jako pan domu. Gamma podzielona była na dwie izby, w jednej on sam zamieszkał, w drugiej umieścił kozy. Zupełnie w głębi pod skałą urządził swoją szopę. Wszystko tam było.

Znowu jawią się dwaj Lapończycy, ojciec i syn. Przystają, na swych długich kijach wspierają się oburącz, przyglądają się chacie i wykarczowanej ziemi i przysłuchują się pobrzękowi dzwoneczków kóz pasących się na hali.

– Kłaniamy się pięknie! – powiedzieli. – Jak widzimy, wielki pan tu zamieszkał. – Lapończycy próbują zawsze uniżonością i pochlebstwem.

– Wy pewnie nie wiecie o jakiej dziewczce dla mnie? – odzywa się Izak, któremu myśl ta nie daje spokoju.

– Dziewkę do posługi? Nie. Ale rozpowiemy wszędzie.

– Tak, bądźcie tak dobrzy. I powiedzcie, że mam dom i rolę, i bydło, ale brak mi dziewczki do pomocy.

Ach, o tę dziewczkę dowiadywał się za każdym razem, gdy z ładunkiem kory brzozowej znalazł się na dole we wsi, ale zawsze na próżno. Przyglądały się mu pewna wdowa i kilka starszych dziewczyn, żadna jednak nie miała odwagi zgodzić się do niego; jaka mogła być tego przyczyna, Izak nie wiedział. Czy naprawdę nie wiedział? Kto bowiem zechciałby pójść w służbę do samotnika, tam na pustkowiu tak bardzo odległe, ba, prawie dzień drogi oddalone od najbliższej sadyby ludzkiej? A on sam nie był ani okruszynę miły, ani urodziwy, przeciwnie, gdy

mówił, nie było w nim nic z tenora z oczyma wzniesionymi ku niebu, głos jego przypominał raczej ochryple szczekanie dużego kundla.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak wieść nadal życie samotne.

Zimą majstrował, robił duże dzieże drewniane, sprzedawał je we wsi i brodząc w śniegu wracał obładowany worami z żywnością i narzędziami. Ciężkie to były czasy, wielki w ogóle dręczył go kłopot. Przecież miał bydełko, którego nie mógł być opuszczać na czas dłuższy. Jak przeto się urządzał? Potrzeba jest matką wynalazków, miał łeb na karku, mocny i nieużyty, i ustawicznie czynny. Wychodząc wypuszczał kozy na wolność, aby głód swój zaspokajać mogły ogryzaniem gałązek w lesie. Ale oprócz tego wymyślił jeszcze inny sposób. Nad rzeką, tuż przy brzegu, uwiesił dużą dzieżę drewnianą przeprowadzając do niej maleńką strugę; do napełnienia naczynia było potrzeba czternastu godzin. Dzieża napełniona wodą po brzegi zyskiwała swoją właściwą wagę i wtedy opadała w dół a spadając pociągała za sobą linkę połączoną z szopą, w tejże chwili otwierała się szpara, wypadały trzy odmierzone porcje posiłku koziego i zwierzęta otrzymywały swoje pożywienie.

Genialny wynalazek, może nawet podszept samego Boga – człowiek pozbył się kłopotu. Wszystko szło sprawnie aż do późnej jesieni, potem spadł śnieg, potem deszcz, potem znowu śnieg, śnieg i śnieg. Wtedy wynalazek zaczął działać przekornie: naczynie napełniało się wodą deszczową i szpara otwierała się przed właściwym czasem. Człowiek przeto nakrył naczynie i znowu czas jakiś szło wszystko dobrze. Gdy jednak nastała zima, struga zamrzła i urządzenie całkiem już zawiodło.

I wtedy zważył się czas postu na kozy, a nawet i na samego człowieka.

Były to ciężkie dni, człowiek potrzebował pomocy, a nie miał jej. Ale nie opuścił rąk z tego powodu. Pracował dalej nad urządzeniem swego domostwa, zrobił okno w swej chałupie, prawdziwe okno z dwiema szybami. Był to w życiu jego dzień wielki i jasny. Nie potrzebował już rozniecać ognia na palenisku, aby izbę oświetlić, teraz mógł tam siedzieć spokojnie i przy świetle dziennym wykonywać niecki drewniane. Poprawił się teraz i mówił: – Hej, mocny Boże! – W księdze nigdy się nie zatapiał, ale myśli jego często krążyły koło Boga, nie mógł inaczej, ufność i cześć miały w duszy jego silne korzenie. Niebo gwiaździste, poszum boru, samotność, zasy śnieżne, wszelkie potęgi ziemskie i nadziemskie nakłaniały go do rozmyślań i nabożności; czuł się grzeszny, więc był bogobojny; w niedzielę mył się gwoili uczczenia dnia świątecznego, poza tym jednak pracował jak w dni powszednie.

Zbliżał się czas wiosenny, uprawił przeto swoje małe pole i zasadził ziemniaki. Inwentarz jego powiększył się obecnie: obie kozy okociły się, każda miała bliźnięta, ogółem było więc siedem sztuk dużych i małych. Mając przyszłość na względzie powiększył stajenkę, a i tam wstawił parę szyb okiennych. Wszędzie docierało światło dzienne.

Pewnego dnia nadeszła pomoc. Długo krążyła tu i tam w górze na hali, zanim zdobyła się na odwagę. Był już wieczór, gdy się zbliżyła, ale wtedy już przyszła – wysoka, piwnooka dziewczyna, bujna i rozłożysta w biodrach, miała ręce mocne, w sam raz, i nogi w komagrach [kamargi – trzewiki lapońskie], jakkolwiek nie była Laponką, na plecach dźwigała wór ze skóry cielęcej. Nie była już pierwszej młodości, nie ubliżając miała około trzydziestki.

Czego właściwie miała się obawiać? Pozdrowiła go, dodając jednak pośpiesznie:

– Droga moja prowadzi przez góry.

– Aha – warknął. Rozumiał ją piąte przez dziesiąte, mówiła niewyraźnie, a nadto odwracała się od niego twarzą.

– Tak – odezwała się znowu – bardzo jeszcze daleka droga.

– Chcesz się przedostać przez góry?

- Tak.
- Czego tam szukasz?
- Idę do swojaków.
- Aha, idziesz do swojaków? Jak się nazywasz?
- Inger, a ty?
- Izak.
- Aha, Izak. Czy tu mieszkasz?
- Tak, tu mieszkam i mam tak, jak widzisz.
- Wcale ładnie – pochwaliła.

Pod względem rozumowania był Izak człkiem całkowicie dojrzałym i teraz oto pomyślał od razu, że dziewczyna przyszła zapewne z czyjegoś polecenia lub że przyszła prosto z domu, aby tu pozostać. Prawdopodobnie słyszała, że potrzeba mu pomocy kobiecej.

– Wejdz i wypocznij! – powiedział.

Weszli do chałupy, pożywiali się z jej zapasów i popijali jego kozie mleko, następnie ugotowali kawy, którą miała zapakowaną w pęcherzynie. Raczyli się nią przed pójściem na spoczynek. W nocy opadły go nieposkromione żądze i ona uległa mu...

Nazajutrz nie odeszła i następnego dnia także nie. Była użyteczna, doila kozy i piaskiem wyszorowała kubelki, aż lśniły. Pozostała. Inger – to ona, a Izak – to on.

Teraz więc zaczęło się inne życie dla samotnika. Z jednym tylko była bieda: żona jego mówiła niewyraźnie, przy czym odwracała zawsze twarz, ponieważ miała zajęczą wargę. Ale to nie powód do skargi. Gdyby nie miała ust tak oszpeconych, nie byłaby zapewne nigdy do niego przyszła; zajęcza warga była jego szczęściem. A on sam, czyż był bez wad? Izak kudłaty, brodaty i przysadzisty, potężny niby pniak dębu kilkuwiekowego. A ponury wyraz jego twarzy, czyż miał kto podobny na całym bożym świecie?

Nie odeszła. Gdy wracał ze wsi, z pola lub z lasu, zastawał Inger w chacie. Inger i chata – to całość jedna, nierozdzielna.

Musiał teraz dbać o wyżywienie drugiej gęby, ale to się opłacało, mógł dłużej pozostawać poza domem, mógł się ruszać. Ot tam płynęła rzeka, kochana rzeka, głęboka i o wartkim prądzie, nie była to, Boże broń, mała rzeczulka, ale całą gębą rzeka wypływająca z pewnością z wielkich jezior górskich. Izak więc sprawił sobie przybory rybackie i udał się nad rzekę; wróciwszy wieczorem przyniósł sporo pstrągów i łososi. Inger powitała go z ogromnym podziwem, była po prostu oszołomiona, klasnęła w dłonie i zawołała:

– Widział to świat!

Zmiarkowawszy, jaką radością i dumą napęliła go jej pochwała, chwaliła go jeszcze więcej, a mianowicie, że czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziała i że wcale zrozumieć nie może, jak on to mógł urządzić.

Ale i pod innym względem Inger wniosła mu szczęście. Jakkolwiek wyposażona w niezbyt ładne lica i krótki rozum, to przecież posiadała u swojaków po drugiej stronie własne dwie owce z jagniętami. Przyprowadziła je. Był to prawdziwy skarb dla gammy, pomyśleć: dwie owce z wełną i z jagniętami, cztery żywe stworzenia. Inwentarz powiększył się teraz znacznie, aż dziw, jak się powiększył. Oprócz tego przyniosła Inger swoje rzeczy i inne cudowności, a więc zwierciadelfko, sznur pereł szklanych, gręplę i kołowrotek. Hej, jeśli tak dalej pójdzie, zapełni się wszystko od podłogi do pułapu i gamma będzie za ciasna! Widokiem wszystkich tych bogactw Izak oczywiście bardzo się wzruszył, ale ponieważ z natury był małomówny, przeto nie umiał tego wypowiedzieć, wyszedł więc przed dom, rozejrzał się po niebie i wrócił. Niechybnie

wielkie miał szczęście i czuł, jak coraz bardziej rozpiera go gorącość jakaś, przyjaźń czy miłość, czy jak inaczej to nazwiemy.

– Tyle przyniosłaś, że więcej już nie potrzeba – przemówił.

– O, ja mam gdzie indziej jeszcze więcej. Mam wuja Sywerta, brata matki, znasz go?

– Nie.

– O, to wielki bogacz, jest kasjerem powiatowym.

Przez miłość człek staje się głupszy; Izak pragnął się przypodobać na swój sposób i dlatego posunął się za daleko.

– Co ja właściwie chciałem powiedzieć – rozpoczął – ziemniaków nie będziesz obdziabywać. Ja sam to zrobię, gdy przyjdę wieczorem.

Potem wziął siekierę i poszedł do lasu. Słyszała, jak w lesie ścinał drzewa, było to w pobliżu, a po trasku poznała, że ścina wielkie pnie. Chwilę nasłuchiwała, po czym wyszła do obdziabywania ziemniaków. Przez miłość człek staje się mędrszy.

Wieczorem wrócił, ciągnąc za sobą na powrozie ogromną belkę. Ach, ten Izak, niezdarny, pocziwy Izak, ileż hałasu narobił swym kłosem, jakże chrząkał i kaszłał, i wszystko, aby ją z domu wywabić i wzbudzić jej podziw.

Nie omylił się, gdy już dostatecznie się zbliżył, stanęła na progu i zawołała:

– Pewnikiem zwariowałaś! A może ty jesteś czarownikiem!?

Milczał. Nie wiedział po prostu, co odpowiedzieć. Co za wielka rzecz taka belka, szkoda słów.

– Co znów zamyślasz majstrować?

– Ech, tego sam jeszcze nie wiem – odparł zagadkowo.

Teraz dopiero zauważył, że ziemniaki już obdziabane, czyli że okazała się prawie równie jak on dzielna. A to nie było po jego myśli, więc odczepił powróż od pnia i zawrócił do boru.

– Znowu idziesz? – zapytała.

– Tak – odpowiedział tonem obrażonego.

Powrócił z drugą belką, ale już nie sapał ani hałasował, jeno podciągnął ją pod samą gammę i tam ją pozostawił.

Podczas lata przywłókł przed gammę wiele jeszcze takich belek.

## II

Pewnego dnia Inger spakowała do swego worka skórzanego nieco żywności i rzekła:

– Pójdę do krewnych, muszę ich odwiedzić.

– Hm – mruknął Izak.

– Tak, muszę tam być jak najprędzej, aby pogadać z nimi o różnych sprawach.

Poszła. Izak kręcił się po gammie, łażąc z kąta w kąt za tym i owym. Gdy wreszcie stanął na progu chałupy, obojętnością pokrywając złe przeczucia, postrzegł Inger znikającą właśnie na skraju lasu.

– Hej, a wrócisz? – krzyknął za nią mimo woli.

– Nie! – odkrzyknęła.

– Żartujesz!

– Ehe!

Więc znowu pozostał sam jeden. – Hej, mocny Boże! – Z krzepą swoją i swoją ochotą do pracy nie umiał być długo bezczynny. Zabrał się do ociosywania i obrabiania pni na belki. Pracował tak aż do wieczora, potem wydoił kozy i udał się na spoczynek.

Pusto i głucho było teraz w gammie, cisza niesamowita wiała z każdego kąta. Kołowrotek jednak i gręple stały na swoim miejscu, a perły schowane w woreczku wisiały na ścianie. Inger pozostawiła wszystko. Izak jednak był tak nieskończenie głupi, że w jasną noc letnią bał się ciemnicy i co chwila widział jakieś cienie czające się w oknie. Gdy około godziny drugiej zaświtało, odetchnął, wstał i zjadł śniadanie. Ugotował olbrzymią misę kaszy, aby starczyło na cały dzień. Do wieczora uprawił nowy kawał ziemi pod ziemniaki.

Przez trzy dni z rzędu obrabiał kolejno pnie i uprawiał ziemię; nazajutrz Inger zapewne wróci. Pomyślał, że byłoby nieźle, gdyby na jej przyjęcie nałowił trochę ryb. Idąc jednak do rzeki drogą prostą, mógłby się z nią spotkać, dlatego nałożył drogi i poszedł krętymi ścieżkami. Tym sposobem dotarł w nieznane sobie dotychczas strony gór. Były tam skały szare i brunatny piarg, bardzo ciężkie kamienie zawierające może ołów, może i miedź, a może srebro i złoto. On się na tym nie znał i dlatego było mu to obojętne. Dotarł do rzeki; ryby szły dobrze na przynętę, nałowił znowu sporą ilość łososi i pstrągów, tak że Inger na pewno się zdziwi. Wracając nad ranem tą samą drogą zabrał ze sobą z piargu kilka kamieni brunatnych z granatowymi plamami. Były bardzo ciężkie.

Inger nie wróciła jeszcze. Czwarty dzień już mijał. Doił kozy jak ongi, czasu zupełnej samotności, gdy nie miał nikogo do pomocy. Następnie znosił w pobliże gammy wielkie stosy kamieni przydatnych do murowania. Zaprawdę wielkie były jego zamysły.

Piątego wieczoru kładł się na spoczynek z cichą goryczą, ale wszakże kołowrotek i gręple stały na swoim miejscu!... Ta sama pustka w chałupie i cisza! Godziny wlokły się, ach, jak się wlokły. Usłyszawszy nareszcie z zewnątrz coś jakby szelest kroków, pomyślał, że to przywidzenie.

– Hej, mocny Boże! – powiedział w swym rozgoryczeniu, a słów takich Izak nie wypowiadał na wiatr. Teraz usłyszał ponownie stukot kroków na dworze, a po chwili ujrzał w oknie przesuwający się cień; co by nie było, ale to coś miało rogi, dalibóg! Zerwał się i wypadł z chałupy, i wtedy ujrzał coś niezwykłego!

– Bóg albolii bies! – warknął, a czegoś podobnego Izak nie wymawiał nigdy bez powodu. Ujrzał krowę, Inger i krowę znikającą w obórce.

Gdyby nie był usłyszał Inger rozmawiającej z krową głosem przyciszonym, nie byłby dowierzał własnym oczom. Ale on słyszał, widział i słyszał, i tejże chwili zrodziło się w nim całkiem złe przeczucie: „Mocny Boże! Dzielna, ho, ho, diabelska baba, ale co za wiele, to za wiele. Kołowrotek i gręple, to jeszcze, perły, chociaż nadzwyczajne, i to jeszcze. Ale krowa, może zabłąkana gdzieś na drodze, może zabrana z cudzej łąki, krowa, której poszukiwać będzie prawy jej właściciel”.

Inger wychodząc z obórki rzekła z chępliwym uśmiechem:

– Przyprowadziłam sobie moją krowę!

– Hm – odpowiedział Izak.

– Spóźniłam się, marudziła w górach, cielna.

– Przyprowadziłaś więc krowę?

– Jak widzisz – odparła, a tak się przy tym puszyła, o, jak się puszyła. – A może myślisz, że kłamie? – dodała.

Izak obawiał się czegoś najgorszego, ale trzymał się na wodzy, powiedział tylko:

– Chodź już i zjedz co.

– Widziałeś krowę? Ładna?

– Śliczna. Skąd ją masz? – silił się na największą obojętność.

– Wabi się Złotoroga. A do czego wznosisz ten mur? Ty się jeszcze kiedyś na śmierć zaharujesz, zobaczysz. No, chodźże i zobacz sobie krowę!

Wyszli, Izak był w gatkach, ale to głupstwo. Przyjrzeni się krowie dokładnie ze wszystkich stron, łeb, wymiona, grzbiet, łędźwie, łaciata, dobrze zbudowana.

Izak wtrącił ostrożnie:

– Na ile lat ją liczysz?

– Na ile? Jest akurat w czwartym roku. Sama ją wychowałam i wszyscy mówili, że to najlepsza krowa, jaką zdarzyło się im widzieć. A będziemy mieli dla niej paszę?

Izak zaczął wierzyć w to, w co wierzyć pragnął, i oświadczył:

– Z paszą nie będzie kłopotu.

Potem weszli do izby, najedli się i napili, i udali się na spoczynek. Ale długo jeszcze rozmawiali o wielkim tym zdarzeniu, o krowie.

– Powiedz, czy nie ładna krowa? Teraz będzie miała już drugie cielę. Wabi się Złotoroga. Izak, ty śpisz!

– Nie.

– I pomyśl, poznała mnie od razu i szła wczoraj za mną niby jagniątko. W górach odpoczywałyśmy trochę.

– Aha.

– Ale na lato będziemy musieli ją na pastwisku przywiązać, inaczej zemknie, bo krowa jest krowa.

– A gdzie była przedtem? – zapytał nareszcie Izak.

– U moich krewnych, oni się nią opiekowali. Nie chcieli jej wydać, a dzieci aż się pobeczały, gdy ją zabierałam.

Możliwe to, aby Inger kłamała tak bez zachłyśnięcia? Mówiła oczywiście prawdę, krowa była jej własnością. Teraz było u nich naprawdę wspaniale, maluczko, a nie zabraknie im już niczego! O, ta Inger, kochał ją i ona jego kochała, poprzestawali na małym, żyli jak za czasów łyżki drewnianej i czuli się dobrze. – No, czas spać – pomyśleli. I spali. O brzasku zbudzili się do dalszej pracy; różne tam były sprawy, nad którymi trzeba się było namozolić, a jakże, walki i radości, zwyczajnie jak w życiu.

Na przykład sprawa z belkami. Czy ma spróbować je stawiać? Ho! Ho! Izak będąc we wsi dobrze się rozglądał i wymyślił sobie potrzebną strukturę, on to potrafi. A czy nie było to po prostu konieczne? Przybyły przecież owce, przybyła krowa, kozy się rozmnożyły i rozmnażają się coraz więcej. Słowem, inwentarz rozsadzał gammę, trzeba było wynaleźć na to radę. Najlepiej zabrać się do tego zaraz, póki ziemniaki kwitną i sianożęcie jeszcze nierozpoczęte; kiedy niekiedy będzie musiała i Inger się przyłożyć.

W nocy Izak budzi się i wstaje. Inger śpi po swej wędrówce snem kamiennym. Izak idzie do obórki. Nie prawi krowie obrzydłych pochlebstw, ale klepie ją po przyjacielsku i bada na nowo z wszystkich stron, czy nie znajdzie jakiego znaku, który by wskazywał na obcego właściciela. Ale znaku nie znajduje, przeto odchodzi z lżejszym sercem.

Tam leży budulec. Układa belki na ściany w czworoboki, duży czworobok na izbę, mały czworobok na komorę. Była to ciężka praca, a tak go pochłoneła, że stracił rachubę czasu. W otworze w dachu gammy ukazał się dymek, Inger stanęła na progu oznajmiając, że śniadanie gotowe.

– Nad czym tam znowu się mozolisz? – zapytała.

– Wstałaś już? – odparł Izak.

Patrzcie tylko, jaką Izak otacza się tajemniczością. Ale bardzo mu to schlebiało, że się dopytywała, że wzbudził w niej ciekawość, że zabił jej klina swym zamysłem. Najadłszy się pozostał w gaminie dość długo, właściwie bez powodu. Na co czekał?

– Hej, ja tu siedzę, a tam czeka mnie wielka robota – odezwał się w końcu zabierając się ku wyjściu.

– Czy budujesz dom? – zapytała. – Nie możesz odpowiedzieć?

Odpowiedział, ale z łaski, czuł się nadzwyczaj wielki, wszakże budował dom i był głową wszystkiego, więc odpowiedział:

– Toć widzisz, że buduję.

– Tak. No no!

– Czy mogę inaczej? – dodał. – Przyprowadziłaś przecie krowę, więc potrzebna dla niej obora.

Biedna Inger, nie była tak mądra jak on, Izak, pan i władca. Nie знаła go jeszcze, nie rozumiała jeszcze jego sposobu wyrażania myśli, dlatego zapytała:

– Ale chyba nie będziesz budował obory?

– Hm – odparł.

– Ty mnie pewnikiem wystrychnąć chcesz na dudka, przecie o wiele lepiej by było, gdybyś dom zbudował.

– Hm, tak myślisz? – odpowiedział i zrobił przy tym rozmyślnie tak głupią minę, jak gdyby teraz dopiero zaczęło mu w głowie świtać.

– No tak, wtedy gaminę można by zmienić na oborę.

Namyslał się, rozważał, a potem przyznał:

– Dalibóg, tak będzie najlepiej!

– A widzisz – powiedziała Inger triumfująco – ja także mam swój rozum.

– Tak. A jakby to było z komorą obok izby?

– Z komorą? Tożby wtedy było u nas jak u wielkich państwa. Tak, gdyby nam się to udało...

I udało się im. Wycinał fugi, wiązał belki w czworoboki, a jednocześnie zbudował z odpowiednich kamieni palenisko. Ale to ostatnie nie udało się mu i był z siebie bardzo niezadowolony. Gdy nastał czas sianozęcia, musiał opuścić budowlę, aby wykosić trawę na hali, po czym w olbrzymich snopach znosił siano do domu.

Pewnego dnia dżdżystego oznajmił Izak, że musi zejść na dół do wsi.

– Po co tam? – zapytała Inger.

– Nie wiem jeszcze dokładnie – odparł.

Poszedł. Był nieobecny przez całe dwa dni; nareszcie wrócił dźwigając na plecach duży piec żelazny.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI